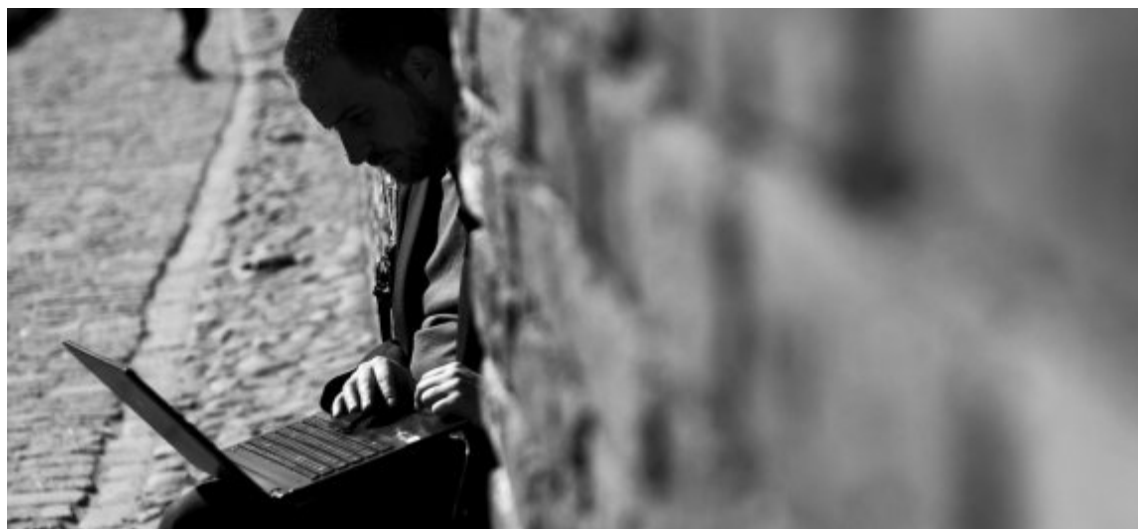


Mateusz Matyszkowicz: Kisiel konserwatywny

Czy konserwatyście wypada czytać Stefana Kisielewskiego? Czy musi robić to ze wstydem? Czy też znajdzie w nim coś świeżego, co jego konserwatyzm pogłębi?



Czy konserwatyście wypada czytać Stefana Kisielewskiego? Czy musi robić to ze wstydem? Czy też znajdzie w nim coś świeżego, co jego konserwatyzm pogłębi? - w 105. rocznicę urodzin Stefana Kisielewskiego przypominamy tekst Mateusza Matyszkowicza

Sobotni poranek na jednym z warszawskich placów, kawiarenka, kawa, śniadanie. Miła rozmowa zaczyna się psuć, gdy schodzi na temat konserwatyzmu. Kawa nie smakuje tak dobrze, gdy gada się przy niej o ideologii – słyszę. Ale konserwatyzm żadną ideologią nie jest – odpowiadam. Ideologia łączy się z lewicowością. To lewactwo zamyka się na rzeczywistość i czyta te swoje głupie książeczki, a później nieszczęśliwie próbuje je wdrażać. To lewica stworzyła systemy totalitarne, a w ich ramach mordowała niepasujących do ideologii. W porównaniu z tym wszystkim konserwatyzm wydaje się mało szkodliwy i trudno sobie wyobrazić, by osoba o poglądach zachowawczych stworzyła nową bolszewię.

Zbaczenie w ideologię

Znajoma miała jednak trochę racji, bo gdy w czasie picia kawy zaczęliśmy odmieniać słowo konserwatyzm przez wszystkie przypadki, gdy składaliśmy wielkie deklaracje, gdy wreszcie opowiadaliśmy o nim, jako o ostatnim ratunku dla ginącego świata (w końcu w dzieciństwie czytaliśmy komiks „Jak ciotka Fru-Bęc uratowała świat od zagłady” i on nas uformował), to on wtedy – właśnie w czasie tej rozmowy – przeistaczał się w ideologię. Złapany, uchwycony, odmieniony – przestał być tym, czym powinien, czyli pewną naturalną reakcją na świat, a stawał się skodyfikowanym i milion razy odmienionym systemem. Takim pakietem konserwatywnym, stertą zdjęć i ulotek otrzymanych od dostawców ideologii na życzenie. Ideologią wybraną spośród wielu. Sztywną i oderwaną od świata.

Nie był już postawą, ale czymś, co za sprawą tego skodyfikowania, staje się rzeczywistością względem nas zewnętrzną. To nie my jesteśmy już konserwatywni, ale w konserwatyzm się ubieramy, jest on na zewnątrz, jest czymś, co mają w nas widzieć inni, a nie czymś, co faktycznie motywuje nas do działania. Taki vintage, czyli świadome przystrojenie się w ciuchy z innej epoki, najczęściej z pobudek czysto estetycznych. Konserwatysta w fularze, konserwatysta w garniturze (to akurat zawsze mnie śmieszyło, bo ciemne garnitury weszły do powszechnego obiegu w czasie rewolucji francuskiej), konserwatystka w długiej spódnicy.

Więc żeby uratować wspólną kawę, żeby poczuć na nowo jej smak, zaczynam cytować Kisiela. Rzadko to robię. W pewnym momencie zaczął mnie męczyć. Zwłaszcza od czasu, gdy zauważyłem, że sprowadza się go albo do czystego gospodarczego liberała (a ja z liberalizmem mam spory kłopot), albo do nigdy nieczytanego ramola. Ja sobie Kisiela czytam często, cytuję rzadko. Tym razem jednak pasował jak ulał, by rozmowę na placu sprowadzić do dobrej tory. Na takie okazje zawsze warto nosić jego felietony w torbie i wyciągać. Ale nie po to, by zamordować kogoś jednym cytatem i na tym zakończyć rozmowę w poczuciu wyższości, ale by czytać w całości. Nie skupiać się na pojedynczych zdaniach, ale argumentacji.

Problematyczny konserwatysta

Z konserwatyzmem Stefana Kisielewskiego, jak wiadomo, był problem. Sam do siebie stosował raczej określenie „liberał” i to w czasach, gdy intelektualnie było to kosztowne i wcale nie wiązało się z wpuszczeniem na wielkie salony, jak to jest dzisiaj. W naszych czasach

liberalizm – podobnie jak niektóre formy konserwatyzmu – sam stał się ideologią i wyjątkowo mało wyrafinowaną. Stefan Kisielewski natomiast był liberałem o konserwatywnych skłonnościach. Sam o tym wyraźnie napisał w niejednym z felietonów. Choćby wtedy, gdy swoje konserwatywne skłonności sprowadził do dwóch wymiarów. Kultu Wiecha i kibicowania Legii.

Te dwa elementy nie zostały wybrane przypadkowo i wcale nie świadczą o jakiejś ideowej dezynwolturze. Oba wiążą mocno z Warszawą – z pisarzem, który za punkt honoru postanowił zachowanie warszawskiej gwary i obyczajowości warszawskiego ludu; który robił to nie tyle z kronikarstwa, co z czystej pasji, z wżycia się w społeczność i chęci dzielenia z nią życia. I właściwie z podobnych powodów kibicował Legii, jakiejś resztkę jego Warszawy, chyba w dużej mierze dlatego, że innej wtedy nie miał.

Pisał też o sporcie. Ale o sporcie już jako liberał. Tuż po wojnie uznał bowiem, że najważniejszą kwestią jest obrona jednostki przed masą, sprawę stosunku pojedynczego człowieka do zbiorowości uznał więc za kluczową i jej postanowił się oddać. Sport, w którym indywidualność nigdy nie przestała być ważna, wydawał mu się dobrym pretekstem do tego, by o jednostce mówić i kultywować jej wartość. Sportu nie da się oderwać od człowieka, nawet jeśli wymyślimy mu najlepsze odżywki, uszyjemy najlepsze stroje i wyposażymy w najlepszy rower, zawsze i tak będzie wszystko zależało od niego – od tego, który biegnie, kopie piłkę, jedzie na rowerze. Zabranie sportowcowi imienia i nazwiska to nie tylko morderstwo dla marketingu sportowego, to przede wszystkim pozbawienie sportowca jego motywacji. Bo to on walczy, kopie, jedzie. Konkretny, z imienia i nazwiska.

Ucieczka od Stalina

Ale wracamy do Kisiela. Były lata 40. Rządziła wtedy masa, a masa ta poddawała się Stalinowi. Część katolickich elit, w tym koledzy Kisiela, uznali, że moment może nie jest idealny, może nie wyśniony, ale jakoś przybliży do katolicyzmu przez swój kult zbiorowości i społeczną wrażliwość, przez to chwalebne wyciągnięcie na wierzch krzywd społecznych, które tak męczyły ich pańskie sumienia przed wojną. Wreszcie uznali, że najlepszym sposobem na zachowanie katolickiej substancji będzie umiarkowane i zdystansowane włączenie się w politykę nowych władz. Stanisław Stomma pisał o mądrości etapu, Jerzy Turowicz, wspierając się Mounierem, szukał zalet socjalizmu.

Kisielewski się od nich nie odciął. Przeciwnie – po 1945 roku był felietonistą Tygodnika Powszechnego, z przerwą na czas, kiedy po odmowie publikacji nekrologu Stalina tygodnik dostał się we władanie jeszcze bardziej ugodowych katolików. Po cichu jednak robił swoje i jego liberalizm z czasów PRL wydawał mu się najlepsza kontra dla prób zawłaszczenia człowieka przez nowy ustrój. Podobnie jak on, myślało wtedy wielu. Dziś wielu konserwatystów średniego i starszego pokolenia ma za sobą okres fascynacji liberalizmem. U większości zakończył się niedługo po 1989 roku. Co dokładnie mówiłby teraz Kisiel nie wiemy i nie mamy co domniemywać. Zmarł w 1991 roku, zbyt szybko, by dokładnie ocenić przemiany ustrojowe i kulturowe.

Ten stosunek jednostki do państwa zdaje się teraz mieć inne znaczenie. Wydaje się bowiem, że indywidualizm głoszony przez elity III RP wymaga innego rodzaju kontry, postawienia raczej na zbiorowość i

ponowne osadzenie w niej jednostki. Jeśli jednak przypatrzymy się dokładnie temu, co nam jest proponowane, jeśli wreszcie zrozumiemy do końca projekt polityczny, jaki wdrażany jest w nasze życie publiczne i w wychowanie młodego pokolenia, zrozumiemy, że wcale tak wielkich różnic nie ma. Dominuje bowiem pedagogika publicznego wstydu i zbiorowego podążania za jednym wzorcem. Kto odstaje, kto myśli inaczej, kto wreszcie próbuje ułożyć sobie życie jak chce, znajduje się na cenzurowanym. Kto nie nosi stroju zaprojektowanego specjalnie dla niego, jest aspołecznym idiotą.

Jest więc inaczej, niż mogłoby się wydawać. Nasze czasy nie są żadnym tryumfem indywidualizmu, nie ma w nich nic z samosterowności i zdolności do samodzielnego wyznaczania szlaków. Choć może nie ma jednego wodza, to jest jednak jeden wzorzec. Rzecz znacznie gorsza, bo jednego wodza można otruć, uwięzić, obalić, ewentualnie doczekać jego końca. Z jednolitym wzorcem jest znacznie gorzej. Jak się przeciw niemu zbuntować, skoro nie narzuca go już siła policyjna i nie strzegą karabiny, ale trudna do zlokalizowania i zidentyfikowania ideologiczna władza? Ulega mu się niby z własnej woli, a jednak jakoś bezwolnie i łatwo.

Jeśli tak, to Kisiel jest tym bardziej aktualny, tym więcej z niego możemy wyciągnąć. I szkodzi Kisielewskiemu to redukowanie jego przesłania do popierania abstrakcyjnego wolnego rynku – rynku, z którym sam Kisiel miał niewiele wspólnego. Zmagał się natomiast z totalitarnym przywiązaniem do masy i niemożnością jednostki do znalezienia własnego punktu oparcia.

Konserwatyzm krytyczny

Jeśli było coś dziwnego, interesował się tym Kisielewski. Można go nawet nazwać kolekcjonerem dziwactwa lub dziwactw wszelakich. Im dziwniejsze, tym lepsze. Im dziwniejsze, tym bardziej jednostkowe, bliższe osobie.

Jeśli piętnastu coś popierało, a jeden był przeciw, Kisiel interesował się tym jednym. Jeśli sto maszyn działało, a jedna była felerna, Kisiel interesował się tą wadliwą. To była nie tylko cecha charakteru, nie tylko wrodzona zrzędlivość i warcholstwo, ale przede wszystkim intelektualna metoda. Sposób na to, by rzeczywistość uchwytować taką, jaką była, nawet jeśli dochodziło do przecenienia jakiegoś jej aspektu. Chodzi o uchwycenie rzeczywistości tam, gdzie ona niedomaga, a nie ciągłym redukowaniu jej do tego, co działa wspaniale. Wreszcie na wypracowaniu w sobie krytycznego ducha. Takiego przekonania, że nic nie można brać po prostu na wiarę, że wszelkie oczywistości urągają rozumowi i godności jednostkowej. Że lepiej być zrzędą, której nikt nie mówi, co myśleć i mówić.

Można spotkać się z takim przekonaniem, że duch krytyczny jest domeną lewicy. Jej zwątpienie w możliwość wyrażenia niezmiennych prawd, pchnęła ją w krytycyzm. Uznała od tej pory, że skoro o rzeczywistości nie da się mówić w sposób pozytywny (to znaczy prawdziwy sąd o faktach jest niemożliwy), skupić się należy na negowaniu. Negacja tego, co jest, jak świat jest urządzony i jakie panują w nim stosunki, wyróżniają – przynajmniej ideologicznie lewicę od konserwy. Konserwatyści rzekomo skupiają się na utrzymaniu pozytywnych aspektów rzeczywistości, niby poszukują w niej stałych elementów, niby próbują je opisać. We wszystko to ufają w przekonaniu, że metafizyka tego świata, spójna z ich metafizycznym

programem, ku temu ich upoważnia. A jednak, ta sama metafizyka i to samo przywiązanie do rzeczywistości, która nie poddaje się ideologicznym schematom skłaniać nas powinna raczej do sceptycyzmu, raczej do ostrożnego przyglądania się rzeczywistości i reagowania na nią, niż zawziętemu uczeptaniu się jednolitych schematów.

Konserwatyzm właśnie ma ten potencjał krytyczny, którego źródło można odnaleźć u św. Tomasza. Tego, który kazał nam się strzec ludzi jednej księgi (jakże wielu tomistów zapomniało o tej przestrodze) i tego, który pokazał dynamikę bytu i jego wymykanie się zbyt ciasnym kategoriom. Krytyczny model konserwatyizmu nabiera wtedy nowego wymiaru. Nawiązuje na nowo do myśli Edmunda Burke'a, który pisał o tym, że światło, padając na ziemię, ulega licznym załamaniom. Konserwatyzm jest wręcz krytyką ze swej istoty. Nie ma w nim nic z biernej akceptacji otoczenia, ale raczej przekonanie o niedoskonałości tego, co nas otacza. Konserwatysta nie patrzy na zmiany zachodzące w świecie i nie poddaje się im bezwolnie.

Konserwatywne świadectwo

Jeśli jednak zamyka się w konserwatyzmie jako ideologii, grzeszy nie tylko przeciw własnym przekonaniom, nie tylko okazuje wzdąlenie do rzeczywistości, ale także oddaje się pysze. Pyszni się bowiem, że zrozumiał wszystko – jak lewicowiec, który nie posłuchał rady Hegla i domniemuje, że sowa Minierwy ofiarowała mu już całe zrozumienie dziejów i że on sam potrafi je trafnie odczytać. Grzeszy przeciw katolickiemu realizmowi, który przypomina nieustannie o skutkach grzechu pierworodnego, a ten nie tylko wprowadził w świat ludzki

nieczystość, ale także błąd. Skaził nie tylko ciało i części popędliwe, ale także uczynił rozum ułomnym. Najlepszym zaś sposobem na przełamanie tej ułomności jest poznawanie świata realnego w sposób najmniej ideologiczny, w skupieniu na tym, co istnieje naprawdę. W skupieniu na bycie.

Stefan Kisielewski nie poświęcił wiele miejsca filozofii. Może szkoda – byłoby to bardzo ciekawe. Ale też dał niezwykle świadectwo: że cokolwiek się dzieje, trzeba to uchwytować takim, jakim jest. Należy przywiązać się do tego, co nam najbliższe i najlepiej znane, czyli do konkretności. Dlatego też Kisiel tak bardzo chwalił wczesne teksty Tyrmanda – za oddawanie szczegółów, konkretnych sytuacji i konkretnych ludzi.

Być może to jest ten najlepszy konserwatyzm. Ten uprawiany przy kawie, w czasie rozmowy, w życiu. Może to zwykłe noszenie dobrej felietonistyki w torbie i podczytywanie, by na nowo odkryć konkret jest wielką kontrrewolucją. Taką, która pozwala z dystansem patrzeć na wielkich naprawiaczy świata, na tych wszystkich konstruktorów nowych wspaniałych światów, uszczęśliwaczy ludzkości i czytelników jednej książki, koniecznie rewolucyjnej. Felietony Kisielewskiego rewolucji nie przynoszą. Na szczęście.

Mateusz Matyszkowicz